

Wstęp. Suwerenność albo bezpieczeństwo

I Przyszłość Polski

Mocarstwa odbierają suwerenność zarówno wrogom, jak i sojusznikom. Ta prawda jest bardzo gorzką pigułką do przełknięcia. Ale jeszcze bardziej ogólnym prawidłem geopolitycznej gry o przetrwanie jest to, że każdy, kto ma siłę wpływać na bieg rzeczy, trzyma wszystkich swoich potencjalnych konkurentów i ofiary gospodarczej eksploatacji w dole. Silne państwa, takie jak Niemcy i Francja, pilnują Polski. One same z kolei trzymane są w ryzach przez globalnego hegemon.

W świecie takich hierarchii, silniejszy decyduje. A wzniosłe ideały i szlachetne idee są tylko narzędziami do zarządzania ludźmi, którzy nie są świadomi swojej roli w biegu spraw – roli pionków na czymś, co Zbigniew Brzeziński nazwał Wielką Szachownicą.

Ta książka jest końską dawką prawd, gorzkich przebudzeń i niewygodnych prawideł. Pierwszą z nich jest coś, co wydaje się oczywiste, a jednak oczywiste nie jest. To idea samostanowienia narodów. Była ona hasłem wypisanym na sztandarach walki z kolonializmem, a karierę zrobiła na przełomie XIX i XX wieku.

Te propagowane przez Stany Zjednoczone szlachetne idee miały za swój ideał stan, w którym mocarstwa średnie, albo inaczej lokalne potęgi i ośrodki władzy traciły racje moralne do prowadzenia gry imperialnej, czyli podbijania, kolonizowania i drenowania zasobów należących do bliższych i dalszych sąsiadów. Efektem uruchomienia tych sił było wybicie się Polski na niepodległość w 1918 roku. Nastąpiło ono jako jeden z epizodów demontażu imperiów europejskich.

Logika, która powołała do życia oczywistość, jaką jest prawo grup etnicznych do zakładania suwerennych państw, przetrwała do dziś. We współczesnym świecie widzimy działanie tej siły i kontrsiły w prostej obserwacji: to Stany Zjednoczone są gwarantem bezpieczeństwa, a nawet w miarę suwerennego istnienia Polski. Bez Amerykanów, trzymających w ryzach i w dole Rosję i Niemcy, Polska nie ma szans na realną autonomię. Stany, utrzymujące porządek międzynarodowy, w którym jawne podboje i wojny zaborcze są nielegalne, to kontrsiła dla naturalnych tendencji silnych państw do powiększania swojej siły kosztem wszystkich, którzy są słabsi. Bez Ameryki interesy silniejszych sąsiadów nie miałyby kontrsiły, która je osłabia.

Co zadziwiające, wiele osób jest wręcz ślepa na tę prawidłowość. Takie osoby rozpoznać łatwo: promują ideę BRICS, jako siły mającej doprowadzić do upadku niesprawiedliwy dla słabych podział zasobów świata. Osoby takie cieszą się z każdego zdarzenia, które osłabia Stany... Nie rozumieją jednak, że zniknięcie globalnego policjanta przyniesie nieuchronne, katastrofalne konsekwencje dla Polski. Drogą dedukcji dochodzimy więc do oczywistego spostrzeżenia: Choćby nie wiadomo jak narzekać na postęпки Amerykanów, to ich obecność jest dla Polski lepsza, niż jej brak.

II Tajwan

Te same prawidła przejawiają się w zwozdu inny sposób w przypadku Republiki Chińskiej (RCh), dalej Tajwanu. Republika Chińska to formalna nazwa bytu politycznego, który jest administratorem de facto wyspy głównej, Tajwanu wraz z garstką wysepek i archipelagów wokół. Akt jej ubezwłasnowolnienia polegał na zmuszeniu władz Republiki do zakończenia programu budowy broni atomowej. Narzędziem do realizacji aktu uzależnienia obrony wyspy od woli geopolitycznej Stanów dokonała Centralna Agencja Wywiadowcza. W efekcie jej zabiegów Tajwan, zamiast oprzeć swoje bezpieczeństwo na własnej sile, czyli strategii odstraszenia swoją siłą, musiał na swój kluczowy mechanizm obronny przyjąć coś, co uzależniało jego los od Ameryki. Na dzień dzisiejszy jest to słynna Krzemowa Tarcza, czyli prymat w produkcji najbardziej zaawansowanych półprzewodników, od których zależne jest funkcjonowanie praktycznie całego świata. Ta tarcza powstała dzięki splotowi okoliczności: szczęściu, wizjonerskiej wizji tajwańskich polityków i wyczerpaniu się modelu biznesowego wiodącego na przełomie lat 80. i 90. przemysłu półprzewodnikowego Japonii.

Choć taki bieg rzeczy doprowadził do powstania silnego, bogatego i prosperującego społeczeństwa, obraz jest jasny: Tajwan samodzielnie, bez wbudowania go w system Pax Americana, byłby silny i niezależny w kwestii decydowania o swoim losie. Stan faktyczny jest taki, że Tajwan jest de facto bezbronny i zależny od woli swojego opiekuna. Nastąpiło scedowanie zadania obrony trwania Tajwanu

na rzecz Ameryki... Oczywiście na dobre i na złe, o czym przekonamy się już za chwilę.

Zdrajca młodego narodu czy twórca współczesnego Tajwanu?

Pułkownik Chang Sen-i (張憲義) to zaledwie jeden człowiek. Jednak to jego decyzje, bardziej niż kogokolwiek innego, doprowadziły do tego, że dzisiejszy Tajwan jest tym, czym jest. To genialny naukowiec, pułkownik armii Republiki Chińskiej... i zdrajca swojego kraju. To właśnie on pewnego dnia w 1988 roku wyszedł ze swojego biura i poprzez Japonię uciekł do USA, zabierając przy tym olbrzymią ilość dokumentacji tajwańskiego programu budowy broni atomowej. Chang oddał w ręce CIA klucze do przetrwania Tajwanu. To ten pojedynczy akt kluczowej osoby sprawił, że przetrwanie Republiki Chińskiej przestało zależeć od osiągnięcia przez nią statusu mocarstwa atomowego.

Rząd w Tajpej, kierowany przez Kuomintang, wierzył, że sojusz z Ameryką jest żelazny. Jednak w świecie geopolityki żelazo rdzewieje. Przez dziesięciolecia wyspa była niezatopialnym lotniskowcem Zachodu, fortecą antykomunizmu w Azji. W latach 70. i 80. w oczach ówczesnego rządu wyspy, została ona odizolowana od świata. Republika Chińska, członek założyciel ONZ, został z tej organizacji wykluczony w roku 1971. Jego miejsce zajęła Chińska Republika Ludowa.

Do tego czasu na wyspie stacjonowali amerykańscy żołnierze. Stany Zjednoczone miały z Tajwanem traktat o wzajemnej obronie. Siódma flota amerykańska patrolowała Cieśninę Tajwańską. Teraz ta obecność znikła. Ostateczna zmiana nastąpiła w 1979 roku. Prezydent Jimmy Carter przeniósł uznanie dyplomatyczne z Tajpej do Pe-

kinu. Z dnia na dzień zamknięto ambasadę amerykańską w Tajpej. Umowa o obronie została rozwiązana. Amerykańscy żołnierze spakowali się i wyjechali. Przywódcy w Tajpej spojrzeli na drugą stronę cieśniny szerokości nieco ponad 100 kilometrów. Przeciw zalegającej po drugiej stronie potężde byli sami – amerykański parasol bezpieczeństwa przestał istnieć.

W takiej sytuacji ówczesny prezydent Tajwanu, Chongqing Ko, syn generalissimusa Chang Kaj-szeka, uznał, że broń konwencjonalna nigdy nie wystarczy – przewaga ChRL była zbyt duża. Nie mogli już także ufać, że Waszyngton ich uratuje. Tajwan potrzebował bomby. Logikę takiej sytuacji strategicznej podsumowują idealnie słowa premiera Pakistanu Zulfikar Ali Bhutto (1928-1979), który w obliczu przewagi Indii stwierdził po prostu: „Będziemy jeść trawę, ale bombę mieć musimy”.

Po katastrofach dyplomatycznych lat 70. program atomowy RCh przestał być naukową ciekawostką, a stał się priorytetem decydującym o przetrwaniu. Rząd wyasygnował miliardy dolarów na powołanie do życia tajnej placówki o nazwie Instytut Badań Energii Jądrowej. Ośrodek ten położony był w około 60 kilometrów na południowy zachód od Tajpej, w obrębie miasta Longtan. Tajwańczycy zbudowali tam Tajwański Reaktor Badawczy (TRR), do którego komponenty dostarczyła Kanada. według projektu dostarczonego przez Kanadę.

Reaktor ten był oparty na ciężkiej wodzie, mógł więc produkować pluton, niezbędny do zbudowania bomby prostszej w konstrukcji od uranowej. Pracownicy ośrodka, motywowani kwestią przetrwania, pracowali 24 godziny na dobę. Jeden z zespołów pracował nad wydobywaniem plutonu ze zużytych prętów paliwowych reaktora TRR. Inny zespół budował mechanizm inicjujący eksplozję atomową za pomocą ładunków konwencjonalnych.

Obserwujący tą gorączkową działalność Amerykanie stanęli przed poważnym dylematem. Z jednej strony potrzebowali Tajwanu jako wolnego przyczółka. Z drugiej, sytuacja mogła doprowadzić do zainicjowania wyścigu zbrojeń, a nawet przewencyjnego ataku ChRL na wyspę. Dodatkowo, jeśli pozwoliłoby się Tajwanowi posiadać broń atomową, z precedensu natychmiast skorzystałaby Japonia i Korea Południowa. Aby ustabilizować stan równowagi sił w regionie, oraz relacji między dwoma potęgami, należało wypracować rozwiązanie balansujące i stabilizujące równowagę sił. Clou tego problemu było to, że Chiny mogły zdecydować się na przewencyjny atak, aby zniszczyć Tajwan, zanim jego bomba będzie gotowa. To tak doszło do tego, że CIA pozyskała swojego kreta – zdrajcę, którym stał się wspomniany Chang Sen-i.

Chang należał do grupy etnicznej Hakka i był „rodowitym” Tajwańczykiem, a więc nie wywodził się z tych Chińczyków, którzy pojawili się na wyspie po 1945 roku, a którzy o wiele silniej niż wcześniejsza fala kolonizacji energetyzowany był nacjonalizmem Hanów. Dochodziła też oczywiście kwestia lojalności reżimowi Republiki Chińskiej, który pojawił się na wyspie w 1949 roku. Chang, choć był potomkiem ludność prowincji Fujien, kolonizującej Tajwan przez trzy wcześniejsze stulecia, cieszył się bardzo dużym, a wręcz bezgranicznym zaufaniem. W tamtym okresie był wicedyrektorem ośrodka atomowego i wschodzącą gwiazdą całego programu.

Agenci CIA znaleźli więc swojego człowieka w osobie Chang Sen-i. Nie mogli trafić na lepszego współpracownika. Chang nie był zwykłym oficerem. Był zastępcą dyrektora ERR. Był jednym z czterech najważniejszych ludzi w tajwańskim programie jądrowym. Jako że cieszył się bezgranicznym zaufaniem rządu, miał dostęp do wszystkiego i wszystkich. Wiedział, gdzie przechowywano pluton. Znał

harmonogramy. Znał postępy w projektowaniu głowic. Wedle dostępnych publicznie danych został zrekrutowany przez CIA, stając się uśpionym agentem w czasie, gdy studiował inżynierię jądrową na Uniwersytecie Tennessee.

Konspiracja

Tajwańczycy ukrywali swój park maszynowy służący do produkcji plutonu i konstrukcji bomby w zadziwiająco podobny sposób, w jaki robił to Izrael. Budowali w swoim ośrodku badawczym fałszywe ściany, aby ukryć tajne laboratoria. Przemaalowywali rury, aby ukryć ich faktyczne przeznaczenie. Kiedy przybywały inspekcje, oczom ich członków ukazywał się obiekt całkowicie cywilny. Maskarada byłaby skuteczna, gdyby nie Chang. Mówił on Amerykanom, gdzie mają szukać i jakie sprawdzać dane o takich kwestiach jak pobór wody przez reaktor. Dzięki tym informacjom Amerykanie mieli dźwignię oddziaływania. W końcu, na przełomie lat 70. i 80., Amerykanie skutecznie wymusili zatrzymanie prac.

Tajwańczycy posłusznie zadeklarowali podporządkowanie się tej decyzji. W rzeczywistości, ze swoimi pracami zakamuflowali się jeszcze głębiej. Jedną z imponujących innowacji było opracowanie procesu chemicznego, który pozwalał na wydobywanie plutonu na małą skalę i znacznie wolniej, ale tak, że wysiłek ten był trudniejszy do wykrycia przez inspekcje.

Krytyczne wydarzenia nastąpiły w 1987 roku. Atmosfera w Tajpej była napięta. Prezydent Chiang Ching-kuo był na łożu śmierci. Po jego odejściu nieuniknione było zamieszanie polityczne i walka o przywództwo nad strukturami władzy. Wojskowi, niepewni wyniku tych rozgrywek, parli do przetestowania bomby jeszcze przed śmiercią popierającego projekt przywódcy.

To wtedy, w styczniu 1988, Chang uznał, że należy doko-

nać radykalnego kroku. Wymógł na swoich amerykańskich mocodawcach wywiezienie go z kraju. Wcześniej, przez całe miesiące kopiował ściśle tajne plany, zapisy dotyczące zapasów plutonu oraz schematy kluczowych elementów maszyn służących programowi militarnemu. Miał nawet protokoły z ważnych narad, podczas których generałowie omawiali scenariusze użycia tej broni.

Pułkownik-zdrajca przemycił te dokumenty z placówki. Nadal nie wiadomo dokładnie, w jaki sposób to robił. Niektórzy twierdzą, że pliki papierów wynosił na raty w swojej teczce. Inni twierdzą, że wykorzystał tajne skrytki, przekazując dokumentację agentom CIA w parkach w Tajpej. Ostatecznie jednak w styczniu 1988 roku dowody były w rękach Amerykanów. 8 stycznia 1988 r. pułkownik Chang Sen-i wraz z żoną i trójką dzieci wsiedli do samolotu lecącego do Tokio. Jego koledzy z instytutu życzyli mu udanej podróży. Spodziewali się, że wróci za tydzień. Nigdy więcej go jednak nie zobaczyli.

CIA przekazała wszystkie informacje do Białego Domu. Urzędujący w nim prezydent Ronald Reagan był zagorzałym antykomunistą. Kochał przy tym Tajwan. W swojej kampanii wyborczej często opowiadał się za wsparciem dla wyspy. Był jednak Amerykaninem. A jego obowiązkiem wobec narodu i państwa było pilnowanie przestrzegania traktatu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej. Pilnowanie, aby pomniejsi sojusznicy i przeciwnicy nie mieli narzędzi pozwalających kontestować prymat Waszyngtonu.

Wiadomość amerykańskiego prezydenta Reagana do Tajwańczyków była krótka i treściwa: Naruszyliście uzgodnienia. Budujecie broń jądrową. Natychmiast zaprzestaniecie tych działań. Zlikwidujecie reaktor i oddacie pluton. Jeśli nie, Stany Zjednoczone zerwą wszelkie współpracę wojskowe. Wycofamy naszą ochronę i będziecie zdani na siebie.

Ówczesny Tajwański prezydent Lee Teng-hui był w szoku. Twierdził, że nie znał pełnego zakresu programu, co z perspektywy dekad wydaje się prawdą. Lee stanął przed brutalną rzeczywistością: Tajwan nie przetrwa bez wsparcia Stanów. Wszystko, wliczając działanie gospodarki, podpiętej do amerykańskiego systemu, zależało od Waszyngtonu. Skapitulował. Zarządził zrealizowanie nakałów Waszyngtonu.

Amerykanie chcieli fizycznego zniszczenia całej infrastruktury. Chcieli mieć pewność, że ERR nigdy więcej nie zostanie uruchomiony. Zespół amerykańskich agentów i inżynierów pojawił się w ośrodku w Longtan. Najbardziej symbolicznym aktem było zniszczenie samego reaktora. Cała komora reaktora została zalana dziesiątkami ton betonu. Czynność została zrealizowana rękami ludzi, którzy pracowali w tamtym miejscu przez dwie dekady, wkładając w swój wysiłek całe serce. Zanim to nastąpiło, Amerykanie zdemonstrowali i zabrali maszynę, ciężką wodę, pręty paliwowe i pluton. Załadowali to wszystko na ciężarówki, zawieźli na lotnisko i wywieźli z wyspy.

Post scriptum

Betonowy sarkofag, który zamyka w sobie pamiątkę po tajwańskim programie atomowym, ma szczególne znaczenie przy formułowaniu prawideł walki wielkich mocarstw o kontrolę, władzę nad zasobami i przetrwanie. Jest nagrobkiem dla twierdzenia, że mały kraj może całkowicie zaufać supermocarstwu i powierzyć mu los swój i swoich mieszkańców.

Sam Chang Sen-i aktualnie dożywa swoich dni w Stanach Zjednoczonych. Objęty jest programem ochrony świadków, śledzi losy swojego kraju na odległość. W swoich wypowiedziach dla mediów stwierdza, że postąpił słusznie. Tajwan znalazł inną drogę do zapewnienia sobie bezpieczeństwa.

Wyspa jest dziś prosperującym, demokratycznym cudem gospodarczym, jednym z czterech tygrysów Azji. Z jednej strony Chang swoim czynem zapewnił swojemu narodowi pokój. Osoby hołubiące przeciwne zdanie nadają mu miano zdrajcy. Zarzucają, że zyskał pokój, ale kupił go za cenę utraty suwerenności w decydowaniu o własnym losie.

Dla tych jednak, którzy szukają nie ujścia dla emocji, a wiecznych prawideł geopolityki, Chang dokonał czegoś innego. Pokazał, że suwerenność może być dana i zabierana.. Gdy ktokolwiek powierzy klucze do własnego przetrwania komuś potężniejszego, skazany jest na niepewność, bezradność, słabość i brak sprawczości. Taki jest jednak los wszystkich państw, będących jedynie pionkami w grze, którą rozgrywają nad ich głowami mocarstwa.

Tak oto wygląda historia powstania TSMC, giganta rządzącego światowym rynkiem półprzewodników. Historia skrywająca się na zupełnie innej płaszczyźnie przyczynowości niż ta, na której operują historycy, youtuberzy, media i wszyscy inni, którym za świat model świata wystarczą półprawdy, ćwierćprawdy i narracje głównego nurtu.

*Tainan, Tajwan
październik 2025*